

JAN TOMKOWSKI

(Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk)

Magiczne miejsca w powieści Józefa Weysenhoffa *Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego*

Dla ludzi, którzy nigdy nie założyli rodziny, a los pozwolił im cieszyć się przyzwoitymi dochodami, podróż staje się często najdogodniejszą formą spędzania czasu. Bywa niezwykle atrakcyjnym sposobem poznawania świata albo ucieczką od nudy. Podróżując, można zwiedzać muzea i galerie, kolekcjonować pejzaże i niezwykle wrażenia, odkrywać świat na nowo albo sprawdzać informacje zawarte w bedekerach, a także spotykać interesujących ludzi. Oczywiście, motywów do podejmowania podróży moglibyśmy wskazać znacznie więcej: obowiązek, przyjemność, ciekawość, wreszcie nadzieja na znalezienie czegoś nieokreślonego, ale bez wątplenia koniecznego dla naszego szczęścia.

Bohatera debiutanckiej, a zarazem bestsellerowej powieści Józefa Weysenhoffa oglądamy w nieustannym ruchu. Nie potrafi usiedzieć w jednym miejscu, nawet tak wspaniałym jak Paryż albo Monte Carlo. Rozkoszując się turystycznymi atrakcjami, już myśli o wyprawie do Lublina, do Warszawy, a nawet do Cisowa – może w interesach, a może po to tylko, by gromadzić i uzupełniać materiał do wielkiego dzieła, o którym wiemy nie za dużo. Jeśli to traktat filozoficzny, to na pewno napisany po francusku, a jeśli tylko pewien praktyczny wzór postępowania, to rzecz jasna manifestowany z perspektywy kosmopolity, Europejczyka, światowca. W każdym razie zapiski opierają się na porównaniach, które powinny być wciąż aktualizowane, bo zmienia się zarówno otaczająca nas rzeczywistość, jak i nasze wrażenia.

Cel podróży Podfilipskiego znamy bardzo rzadko, a jeśli już narrator o nim wspomina, to wydaje się on albo dosyć niejasny, albo nawet błahy – jak gdyby samo nieustanne przemieszczanie się z miejsca na miejsce stanowiło jedyną, a w każdym razie najważniejszą misję życiową pana Zygmunta.

Wspomnieliśmy na wstępie, że chętniej podróżują ci, co nie założyli nigdy rodziny. Zapewne jeszcze łatwiej wyruszają w świat ci, co w ogóle nie posiadają domu. Wieczny wędrowiec z powieści Weysenhoffa mieszka to tu, to tam. Ma co prawda swój kąt w Cisowie, ale przecież nie uważa tego mieszkania za prawdziwy dom. Z wyznania Hansa można wnioskować, że umiera u siebie, w swoim paryskim mieszkaniu. Ale dopiero niedługo przed śmiercią „siedział dużo w domu i pisał”¹, czyli zachowywał się poniekąd nienaturalnie. Bo przez całe życie czuł się doskonale w hotelach i salonach, w modnych kasynach i kurortach, na dworcach i w pociągach. Tam był naprawdę sobą, a nie w samotności, w zaciszu gabinetu.

Geografia miejsc odwiedzanych przez pana Zygmunta obejmuje lokalizacje starannie wyselekcjonowane. Snobistycznie nastawiony podróżnik nie dopuszcza działania przypadku – zwykle podróżuje tam, dokąd podróżować wypada. Zdarza się natomiast, że odwiedza miejscowości w zasadzie niegodne uwagi. Czasem w interesach, lecz chyba częściej – dla przeprowadzenia „terenowych” studiów i wnikliwego porównania, które co prawda rewelacji nie przynosi, ale stać się może tematem ożywionej pogawędki w następnej podróży.

Wybór celów kolejnych wypraw wiąże się ze ściśle określoną hierarchią, u schyłku życia bohatera – raczej już niezmienną. Na szczycie znajdują się magiczne miejsca, akceptowane na ogół bezkrytycznie, ale z powodów przynajmniej z pozoru wyrafinowanych i gruntownie przemyślanych. Tworzą one jak gdyby wzorzec, do którego odnoszone są wszystkie pozostałe. Czytając, że Podfilipski szczególnie ceni sobie Paryż, a nie ma żadnego upodobania do Lublina, w pierwszej chwili mogliśmy pomyśleć, że autorowi chodzi o jakąś nową wersję powieści Orzeszkowej, krytyczną wobec wyższych sfer. Byłby to wniosek przedwczesny i niesłuszny, bo padające w utworze argumenty są mimo wszystko warte rozważenia. Dlaczego woli on ulicę paryską, a nieprzychylnie ocenia warszawską? Przecież nie jest w gruncie rzeczy koneserem architektury ani entuzjastą techniki. Ocenia świat z perspektywy sybaryty, co z pewnością pierwsi czytelnicy mieli mu za złe, a co dziś przyjmujemy z pewnym zrozumieniem².

Polska fascynacja Paryżem – właściwie od dwóch wieków niewygasająca – ma w sobie coś zagadkowego i trudnego tak naprawdę do wytłumaczenia. Przyczyny historyczne: emigracja, Mickiewicz, Słowacki, Chopin, a w ubiegłym stuleciu „Kultura” Jerzego Giedroycia, na pewno nie

¹ J. Weysenhoff, *Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego*, wyd. 3, Warszawa 1972, s. 262.

² Czytając *Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego*, należy chyba nieustannie przypominać sobie słowa, które na temat autora wypowiedział ktoś dobrze go znający: „we wszystkim niemal przedstawiał czarującą mieszaninę skrajnych nieraz sprzeczności” (A. Grzymała-Siedlecki, *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, Kraków 1962, s. 107).

odgrywają roli decydującej. Sztuka, kuchnia, moda, język – oczywiście tak, ale inne stolice europejskie też oferują niemało atrakcji. Po co Polacy jeżdżą ciągle do Paryża i czemu Paryż podoba im się wciąż bardziej niż Londyn, Berlin, Monachium, Rzym?

Odpowiedzi bywają rozmaite, ale najczęściej chaotyczne, na poziomie folderów rozdawanych w biurach podróży. Bulwary, kafejki, statki na Sekwanie, wieża Eiffla, metro... Przyznajmy, że Podfilipski (ale on jeździł do Paryża na pewno częściej niż przeciętny Polak) zdobyłby się na argumentację znacznie bardziej oryginalną.

Przede wszystkim, udajemy się do Paryża z tych samych powodów, dla których wybieramy się do teatru albo do opery. W Paryżu jesteśmy nie tyle uczestnikami miejskiego życia, co bezinteresownymi widzami – uczucie na pewno przyjemne dla kogoś, kto lubi podróżować, zwiedzać i podziwiać niezwykle widoki:

Po drewnianym bruku, na którym kół nie słycać, toczy się wciąż głuchy grzmot podków końskich, ludzkiej mowy, nawoływań, śmiechów; szepty same już by stanowiły duży głos, gdyby je można było z ogólnej wrzawy wyróżnić. [...]

Wolno, z ciągle naprężoną uwagą i cugłami, prowadzą furmani przepyszne konie; przejeżdża Alfons Rotszyld, prezydent Rzeczypospolitej, Liane de Pougy i tam jeszcze ktoś – aha – król szwedzki. Między morzem krzyżujących się fiaków, płynących dwoma wstecznymi prądami, reklamowe budy, krzykliwie malowane, i wieloryby tego morza – potworne omnibusy, szczelnie zapełnione aż po dachy. Patrzy pan na przechodniów. Jak ubrani! jak śpieszą gorączkowo albo jak rozkosznie „flanują”! Oczy kobiet błyszczą – wszystkie oczy błyszczą w Paryżu; w powietrzu jest na to jakiś środek, lepszy od belladony³.

Cóż za wspaniały obraz, skłaniający każdego chyba czytelnika do niezwłocznego kontaktu z biurem podróży sprzedającym wycieczki do Paryża!⁴ My zwrócimy jednak uwagę nie tyle na piękno francuskiej stolicy, ile na mistrzostwo opisu⁵. W pierwszym akapicie przytoczonego fragmentu dominują wrażenia słuchowe – całkiem jak w jednym z epizodów *Ullisesa* Joyce’a⁶. Autorzy obu powieści starali się oddać odgłos podkutyh końskich kopyt i powozu toczącego się po miejskim bruku. Drugi akapit wywołuje wrażenie, jakby zapadła wręcz doskonała cisza, niespotykana

³ J. Weyssenhoff, *Żywot i myśli...*, s. 25.

⁴ Właściwie już w tym początkowym fragmencie powieści dowiadujemy się dużo na temat poglądów głównego bohatera, który podziwia siłę pieniądza (milioner Rotszyld), władzę (prezydent Francji) i swobodę obyczajową (królowa paryskiego półświatka Liane de Pougy). Szkoda, że Podfilipski nie wymienił w tym momencie nazwiska aktualnego prezydenta, bo pozwoliłoby to ustalić z większą dokładnością czas akcji.

⁵ Przypomnijmy, że zdaniem autora „po owocach dopiero poznaje się mistrzów słowa” – J. Weyssenhoff, *Nowy fenomen literacki (Maurycy Maeterlinck i dekadentyzm symboliczny)*, „Biblioteka Warszawska” 1891, t. II, s. 124.

⁶ Chodzi tu o początek epizodu XI *Ullisesa*, niekiedy nazywany przez badaczy „fugą”.

chyba w mieście wielkości Paryża. Jednak taki zabieg podkreśla znaczenie niezwykłych obrazów, które całkowicie opanowują uwagę obserwatora. Paryska ulica staje się kolejno teatrem, baletem, cyrkiem, nawet ogrodem zoologicznym czy też rodzajem bestiarium. Żywa scena uliczna okazuje się tak interesująca, że stajemy zdumieni, usiłując niczego nie przeoczyć. Ogarnia nas krzepiące uczucie, że to z myślą o takich jak my stworzono całe to niesamowite widowisko.

A gdybyśmy tak spróbowali zamiany ról?

Czy widz może w jednej chwili stać się również aktywnym uczestnikiem paryskiego świata? Czy jest to w ogóle możliwe i na jakich zasadach?

Bohater Weyssenhoffa odpowiada z rozbrajającą szczerością: oczywiście tak, pod warunkiem że mamy złoto w kieszeni albo czek na „Crédit Lyonnais, najlepszy bank świata”. Bo tylko wówczas otwiera się dla nas furtka do lepszego życia. Jakie to właściwie życie? Szczęśliwsze? Godniejsze? Mądrzejsze?

Pan Zygmunt wyśmiałby chyba nasze oczekiwania. Wystarczy, by życie było wygodniejsze:

Chcę sprowadzić takiego pana, który mieszka w cyrkułach Pól Elizejskich. Piszę mu depeszę miejską, *un petit bleu*. Biuro obok.

Chciałbym coś wiedzieć o nowym wynalazku Edisona, bo ciągle o nim mówią. Mam o nim wykład popularny, z doświadczeniami, przy restauracji Café Riche – kilka domów stąd.

Jeszcze potrzebna mi jakaś informacja. Pójdę do byle jakiego „salonu redakcji”, otwartego na ulice, gdzie albo przeczytam, albo ustnie się dowiem. Jest ich dosyć na prawo i na lewo.

Kupić mam to i to. W promieniu pół kilometra jest do kupienia wszystko, o czym kiedykolwiek pomyślałem, i wiele rzeczy, których jeszcze nie znam.

Pójdę potem na obiad: o kilka kroków jest Paillard, najlepsza restauracja świata, albo Café Anglaise, albo Joseph – równie dobre.

I wreszcie pójdę sobie na operę, pod której gmachem stoję⁷.

Czytamy i nie dowierzamy, że Józef Weyssenhoff przez tyle lat uważany był (i bywa uważany do dziś!) głównie za piewę polskiego ziemiaństwa, pisarza umarłego świata i amatora rustykalnego krajobrazu⁸. Nie dotyczy to na pewno jego debiutanckiej i niestety najlepszej powieści, zresztą jedynej chyba arcydzieła⁹. Bo właśnie w swej pierwszej książce – korzystając z bardzo finezyjnego chwytu narracyjnego – autor wyłożył

⁷ J. Weyssenhoff, *Żywot i myśli...*, s. 25–26.

⁸ Zob. np. K.Z. Szymańska, *Józef Weyssenhoff. Ostatni wajdelota polskiego ziemiaństwa*, Częstochowa 2001, s. 231–232 i in.

⁹ Sto lat temu krytycy mieli jeszcze co do tego wątpliwości, atakując debiutancką powieść Weyssenhoffa a to za skupienie na jednym bohaterze, a to „ścieśnione ramy” utworu, względnie niedostatek „uczuć obywatelskich” – owych wad miała być już pozabawiona

istotę nowoczesnej zachodniej cywilizacji¹⁰. Sam nie wiem, czy to cywilizacja XX czy już XXI wieku, w każdym razie w genialnym artystycznym skrócie wyliczył pięć fundamentalnych potrzeb współczesnego człowieka. Oczywiście, rekwizyty i dekoracje będziemy musieli nieco odświeżyć, ale nie zmieniają one sedna sprawy.

Po pierwsze – potrzeba doskonałej szybkiej komunikacji, dziś zaspokajana za pośrednictwem poczty elektronicznej i telefonii komórkowej, bo „depesz miejskich” już raczej nie piszemy.

Po drugie – głód informacji. Nie chodzimy już na odczyty i do redakcji wielkich dzienników, wystarczają nam internet i telewizja.

Po trzecie – supermarket w pobliżu, marzenie każdego mieszkańca naszego globu. Tego rodzaju ciekawość świata zaspokajają również centra handlowe, a paryska ulica z gmachem Opery na to miano przecież zasługuje.

Po czwarte – gastronomia, co prawda dzisiejszy sybaryta wybiera zamiast Paillarda na przykład McDonalda, Pizzę Hut albo KFC, ale ostatecznie są to tylko szczegóły. Może być nawet chińska czy włoska restauracja, byle w zasięgu naszego wzroku.

Po piąte – rozrywka. Oczywiście, aby sprostać nowym czasom, musielibyśmy zamienić operę na multipleksowe kino, modną dyskotekę albo klub, siłownię, pola golfowe.

Szczegóły się zmieniają, bo wszystkie sfery życia, których dotyczy refleksja pana Zygmunta Podfilipskiego, podlegają modzie tak jak strój, tańce, książki czy muzyka. Niezmienny pozostaje natomiast horyzont oczekiwań – egzystencja wygodna, beztraska, niezakłócona przykrościami, niezmacona cierpieniem, chorobą, biedą, lękiem przed śmiercią, uwikłaniem w sprawy, których natychmiastowe rozwiązanie przerasta nasze siły.

Właśnie dlatego Podfilipski wybiera Paryż, bo „tam albo w Londynie, nawet czasem w Berlinie, człowiek czuje się zupełniejszym, bogatszym, wyższym”¹¹. To niezwykle charakterystyczne, że dobre samopoczucie

Sprawa Dołęgi. Zob. np. S. Dobrzycki, *Podfilipski i Dołęga*, „Przegląd Powszechny” 1903, t. LXXVII (s. 339–355) i t. LXXVIII (dokończenie, s.16–32).

¹⁰ Kwestia świadomości literackiej Weyssenhoffa stała się przedmiotem sporu, który sprowokował E. Skiwski (*Potknięcie odbrązowiaczy*, „Tygodnik Ilustrowany” 1938, nr 3). Odpowiadał mu T. Żeleński (Boy) (*Sprawa satyry w „Podfilipskim”*, „Wiadomości Literackie” 1938, nr 7), akcentując znaczenie artystycznego patronatu Dionizego Henkiela. Skiwski jeszcze raz zabrał głos, publikując artykuł *Nonsens i nieprawdopodobieństwo o „Podfilipskim”* („Tygodnik Ilustrowany” 1938, nr 8). Po latach trudno rozstrzygnąć, kto miał rację. Wydaje się jednak, że niezwykła kompozycja, stylistyczna perfekcja i narracyjna oryginalność utworu nie wyniknęły wyłącznie z inspiracji i dobrych rad udzielanych przez przyjaciela. Weyssenhoff wnosił do literatury autentyczną świeżość i impet – cechy, jakich brakowało większości ówczesnych prozaików.

¹¹ J. Weyssenhoff, *Żywot i myśli...*, s. 26.

utożsamione zostało tu z pełnią człowieczeństwa! Tak zwykli myśleć koszmarni egoiści, choć może w życiowej praktyce trudno byłoby zarzuć bohaterowi Weyssenhoffa kompletny brak jeśli nie altruizmu, to bodaj zwykłej przyzwoitości.

Wybiera Paryż, a w ostateczności Berlin¹² czy Londyn, ale już nie Włochy, które również stanowiły zawsze cel pielgrzymki każdego kulturalnego Polaka. Ceniący sobie nowoczesność pan Zygmunt powiada jednak, że Włoch nie lubi, a ich „przechwalonych zabytków”¹³ – nie ceni. Swój pogląd tłumaczy modą, choć na dobrą sprawę wydaje się, że Wenecja, Florencja i rzymskie starożytności znajdują się od bardzo dawna kompletnie „poza modą” – to znaczy są modne nieustannie, niezależnie od sezonowych trendów.

Wspomnieliśmy o pięciu warunkach regulujących naszą codzienność, dodajmy do nich jeszcze jedną cechę naprawdę nowoczesnego człowieka, tym razem mając chyba już naprawdę na myśli „obywatela świata” początków XXI wieku. Tą cechą jest ruchliwość.

Jeszcze pisząc niemal sto lat temu *Narcyza i Złotoustego*, Hermann Hesse mógł mieć nadzieję, że *vita contemplativa* to forma życia odmienna, ale niekoniecznie mniej doskonała od *vita activa*. Akcja powieści rozgrywała się co prawda w średniowieczu, ale jej przesłanie wydawało się bez wątpienia współczesne. W dzisiejszych cyfrowych czasach szala przechyliła się wyraźnie w stronę tych, co żyją aktywnie, nieustannie penetrując możliwie największe obszary rzeczywistości – niekoniecznie zresztą w sensie dosłownym, bo wirtualny kosmos też nieustannie się rozszerza.

Kto żyje na paryskiej ulicy, musi być ruchliwy – w każdym sensie tego słowa. Tylko ruchliwość zapewnia nam w XXI wieku powodzenie w interesach, dostęp do informacji, karierę zawodową i artystyczną¹⁴. Trzeba dysponować wiedzą i talentem, ale też umieć pokazać się z najwłaściwszej strony, odpowiednio wykreować swój wizerunek¹⁵.

Tego w ojczyźnie Podfilipskiego w końcu XIX wieku jeszcze nie znano. Tam, aby poznać człowieka, ciągle posługiwano się staroświecką etyką i powoływano na mądrość przysłów, zapewniających o istnieniu w ludzkiej duszy niepoznawalnych głębi. Podobnych opinii pan Zygmunt nigdy

¹² Dla samego Weyssenhoffa Berlin był symbolem „panowania pięści i pieniądza”. Zob. J. Weyssenhoff, *Mój pamiętnik literacki*, Poznań 1925, s. 141. Pierwodruk artykułu *Berlin: „Tygodnik Ilustrowany”* 1908, nr 13 (s. 247–248) i nr 14, (s. 267–269).

¹³ J. Weyssenhoff, *Żywot i myśli...*, s. 19.

¹⁴ Natomiast sam Weyssenhoff opowiadał się niekiedy za „lenistwem w służbie sztuki”, być może mając na myśli cechującą eseistów „niespieszność”. Na temat związków *Żywota i myśli...* z esejem zob. J. Tomkowski, *Wielki talent w kasynie*, „Przegląd Polityczny” 2010, nr 3 (101), s. 170–173.

¹⁵ O sposobie „komponowania postaci” w powieści pisze H. Obiezierska, *Sztuka powieściopisarska Józefa Weyssenhoffa*, Bydgoszcz 1965, s. 46–47.

nie lubił, bo wiedza tego rodzaju nie przydaje się na paryskiej ulicy. Zbędna jest w ogóle „za granicą”:

Tam sprawy osobiste – cudze – nie zajmują publiczności, która ma co innego do roboty. Człowieka oceniają według jego pozoru, środków i form towarzyskich – i rzadziej się myślą niż u nas, gdzie starają się przeniknąć, czy po śmierci ten a ten, ta i ta pójdzie prosto do nieba, czy zabawi czas jakiś w czyścicu¹⁶.

Tu oczywiście pan Podfilipski mocno przesadził, bo plotkarski i wścibski Paryż oglądamy w niejednej powieści, i to niezależnie od poziomu literackiego, jaki reprezentuje autor. Nie powinna nas jednak zdumiewać tak szczerą pochwałą powierzchowności, której rzecznikiem okazuje się bohater Weyssenhoffa. Mało obchodzi go to, co ukryte, głębokie, nieprzeniknione. W całym swoim życiu poszukuje najbardziej przyziemnych rozkoszy, jakie zapewniają dobre dania i wyszukane wina, wieczór w miłym towarzystwie, wygrana na wyścigach, niezobowiązujący flirt, partyjka w kasynie.

Czy owej powierzchowności brakuje rzeczywiście na warszawskich ulicach?

Bez wątplenia zmiana miejsca zmienia również nastrój, a nawet psychikę człowieka. Zły humor spada na pana Zygmunta znacznie częściej w ojczyźnie niż w Paryżu czy Monte Carlo, gdzie nawet przegrana i strata pieniędzy nie doprowadzają do rozpaczki.

Obserwujemy przynajmniej dwukrotnie zachowanie Podfilipskiego na warszawskich ulicach. Bez porównania częściej pojawia się on w przestrzeniach zamkniętych, we wnętrzach hotelowych czy restauracyjnych, w pociągu albo na wyścigach, spełniających tu niejako rolę „salonu na świeżym powietrzu”. Jednak te dwa szczegółowo opisane przez narratorkę spotkania wydają się niezmiernie charakterystyczne. Nie spodziewalibyśmy się ujrzeć pana Zygmunta na przykład na Powiślu, w ówczesnych dzielnicach łączy, gdzie – jak wiadomo – zagląda zdesperowany Wokulski. Taką wizytę uznałby bohater Weyssenhoffa za absurdalną. Bo w Warszawie szlak jego wędrówki wyznacza oczywiście Trakt Królewski. Gdzie indziej nie warto w ogóle się pojawiać.

W Paryżu ulica jest sceną, którą się podziwia. W Warszawie natomiast ulica staje się sceną, na której się występuje. Wizyta na wyścigach, zakłady i rywalizacja sportowa zdają się być jedynie pretekstem do ceremonii, która zawody hipiczne rozpoczyna i kończy. Chodzi tu o tak zwane *corso*, czyli przejazd zamożnych, wystrojonych i usadowionych w eleganckich powozach gości. Jedzie się Nowym Światem i Alejami Ujazdowskimi

¹⁶ J. Weyssenhoff, *Żywot i myśli...*, s. 70.

(nazywanymi jeszcze wówczas „Aleją Ujazdowską”¹⁷), mijając kościół św. Aleksandra i Księżęcą, a także Belweder. Podfilipski czuje się tu może nie jak w Paryżu, ale przynajmniej jak w Wiedniu – narrator porównuje zresztą Aleje Ujazdowskie do Prateru:

Szereg powozów gęstnieje w miarę zbliżania się do skrzyżowania na pole wyścigów. Wszystko strojne: powozy, konie i ludzie. Czasem tylko jakaś krzywa jednokonna dorożka lub powóz emeryta wyrażający całością niby przypomnienie: *memento mori* – psują ogólny pozór wielkomiejski. Ale całość dobra, sam pan Zygmunt jest zadowolony i w wesołym usposobieniu¹⁸.

Bohater Weyssenhoffa lubi się podobać, robić dobre wrażenie, prezentować swe nienagane maniery i doskonałą znajomość przedmiotu, choćby nawet w kwestii regulaminowej wagi dżokeja czy przypraw stosowanych przez kucharza. Jednak jeśli pragniemy, by nas zauważano i podziwiano, nie możemy popadać w rutynę, czyli występować na publicznej scenie zbyt często. Okazję do kolejnego popisu dają tym razem najważniejsze święta religijne, a dokładnie Wielka Sobota poprzedzająca Wielkanoc. Odwiedza się wówczas warszawskie kościoły i nie tylko ogląda groby, ale również składa ofiary. Ten obyczaj, utrwalony choćby w *Lalce*, dobrze znamy¹⁹. Wielkanocna kwesta przeobraża się w spotkanie towarzyskie, a za sprawą pana Zygmunta staje się również pretekstem do manifestacji filozofii będącej jakąś osobliwą syntezą konformizmu, epikureizmu i łagodnego sceptycyzmu. Może dlatego bohaterowie zajęci dylematami intelektualnymi – choć wbrew zapowiedziom narratora, metafizyki w nich niewiele – przebywają drogę od kościoła Świętego Krzyża do katedry pieszo, nie rozglądając się zbyt dokładnie. Narrator odnotowuje jedynie odświętny nastrój, który do pewnego stopnia udziela się nawet panu Podfilipskiemu.

Z punktu widzenia Ligęzy nie jest on zresztą zwykłym snobem ani kosmopolitą czy bezkrytycznym amatorem cudzoziemszczyzny. Jak się zdaje, pan Jacek łagodzi niekiedy zbyt stanowcze wypowiedzi przyjaciela i usiłuje nas przekonać, że był on równocześnie warszawianinem i paryżaninem, jednakowo przywiązany do obu miast. Inna sprawa, że Paryż podziwiał, a w Warszawie prowadził coś w rodzaju pracy cywilizacyjnej, starając się – bezskutecznie zresztą – wprowadzić tu obyczaj godny zachodniej cywilizacji, paryską modę, nowoczesny styl.

Warszawa i Paryż stwarzają okazję do nieustannych porównań – i to na każdym polu. Wszystko jedno, czy weźmiemy pod uwagę prasę,

¹⁷ Zob. L.B. Grzeniewski, *Warszawa w „Lalce” Prusa*, Warszawa 1965, s. 43.

¹⁸ J. Weyssenhoff, *Żywot i myśli...*, s. 77.

¹⁹ L.B. Grzeniewski, dz. cyt., s. 18–19.

politykę, kuchnię, modę czy technikę, wszędzie stolica Francji zademonstruje swoją wyższość, pełną wdzięku i finezji. Dotyczy to również literatury, choć wydawałoby się oczywiste, że w warunkach ograniczonej swobody wypowiedzi i określonych realiach historycznych twórcy polscy siłą rzeczy muszą pisać inaczej niż autorzy francuscy. Jednak z perspektywy Podfilipskiego liczą się nie tytuły, gatunki czy nazwiska, lecz ogólny duch przenikający całą zachodnią (a zwłaszcza francuską) cywilizację. Cóż takiego nam on przynosi? Humor i oryginalność, a ponadto „wytworność, dowcip, zupełny brak przesądów i szkolnych tradycji”²⁰. W sumie – chyba niemało. Jednak zarzuty stawiane przy okazji polskiej literaturze wydają się nieco zbyt ogólnikowe, by słyszeć w nich zapowiedź krytyki podejmowanej pół wieku później choćby przez Gombrowicza. Prowincjonalizm i zaściankowość ciągle uważane są przez niektórych (zwłaszcza „proeuropejskich”) publicystów za grzechy główne naszego piśmiennictwa. Czy patronuje im bohater Weyssenhoffa – to oczywiście rzecz dyskusyjna.

Pan Zygmunt zdaje sobie zresztą sprawę, że nie wszyscy mogą mieszkać w Paryżu, a nawet w Warszawie. Jakaś część populacji skazana jest – zapewne z własnej winy – na spędzanie życia w prowincjonalnych miastach i miasteczkach, w szlacheckich dworach i na wsi. Są to oczywiście ludzie przegrani, którzy zmarnowali swoje życie. Podfilipski bowiem prowincji nie lubi i nawet nie pragnie jej ani poznać, ani zrozumieć. Prowincja zaczyna się już w Lublinie. Jak słusznie zauważył Jakub A. Malik: „Lublin nie jest miastem, w którym się mieszka, nie jest nigdy miastem stałego pobytu. [...] Lublin jest tym miastem, do którego się przyjeżdża albo z którego się wyjeżdża”²¹.

Towarzyszący swemu przyjacielowi i nauczycielowi Ligęza stara się zwrócić uwagę na jakieś pozytywne strony prowincjonalnego miasta, które kryje w sobie z jednej strony zabytkowe średniowieczne uliczki, a z drugiej zapowiedź nowoczesności – kominy fabryczne, wieże, kolorowe domy. Ostatecznie jednak milknie, przekonany, że Lublin w żaden sposób nie zaimponuje panu Zygmuntowi²².

Bywa zresztą gorzej, bo już dworek szlachecki odcięty od świata, zdaniem miłośnika Paryża, w ogóle nie nadaje się do życia! Nie można stąd

²⁰ J. Weyssenhoff, *Żywot i myśli...*, s. 146.

²¹ J.A. Malik, *Miasto w ukryciu. Lublin w twórczości Józefa Weyssenhoffa. Cztery spostrzeżenia*, [w:] *Józef Weyssenhoff i Leon Wyczółkowski*, red. M. Gabryś, K. Stępnik, Lublin 2008, s. 65.

²² Tymczasem Lublin w ostatnim dwudziestolecu XIX wieku powiększył liczbę mieszkańców dwukrotnie i rozwijał się wprawdzie powoli, ale systematycznie. O tym, jak wyglądało wówczas miasto, przekonać się można, czytając bogato ilustrowany artykuł K. Janusa, *Analiza XIX-wiecznych widoków Lublina pod względem identyfikacji zabudowań zlokalizowanych przy ul. Bernardyńskiej*, „Budownictwo i Architektura” 2011, nr 9, s. 121–128.

wysłać błyskawicznej depešy, nie można zjeść wytwornej potrawy, brakuje aktualnych wiadomości z szerokiego świata, a przede wszystkim nie ma na kogo popatrzeć, nie ma też publiczności gotowej podziwiać wytwornego bywalca salonów. W takich warunkach Podfilipski popada w nieuchronną frustrację i musi wcześniej czy później ratować się ucieczką.

Można by w tej chwili prześledzić po kolei warunki, których Cisów nie spełnia, a spełniają rozmaite wiejskie domy na Zachodzie. Cywilizacja dotarła tu bowiem w ograniczonym stopniu i choćby dlatego szlachecki dworek nie zapewnia Podfilipskiemu wytchnienia, jakie należy mu się po atrakcjach znalezionych w hałaśliwym Paryżu.

Brak komunikacji, technika na poziomie z ubiegłego stulecia, pustka, nuda, skromne rozrywki – to wszystko jest na pewno ważne, ale przecież nie najważniejsze. Bo chociaż otwarcie pan Zygmunt tego nie przyznaje, to chyba najbardziej – i w Cisowie, i w dworku pod Lublinem – przeszkadza mu świadomość wykorzenienia. Zarówno gospodarze polowania, na którym był gościem, jak i rodzina pana Tomasza, to ludzie „na swoim”, przywiązani ogromnie do własnego kawałka ziemi i własnego domu²³. Można im wytknąć rozmaite śmieszności i niedostatki w urzędzeniu gospodarstwa, ale nie da się zaprzeczyć, że osiągnęli coś, czego zdobyć się Podfilipskiemu jednak nie udało. Bohater Weysenhoffa odpowiedziałby zapewne, że jest u siebie nie na głuchej prowincji, lecz w Paryżu, i że tu znalazł najlepszych przyjaciół i uznanie otoczenia. Ale ponury epilog powieści wcale tego nie potwierdza. W samym Paryżu rozesłano – według relacji Hansa – 238 zawiadomień o pogrzebie, nie licząc tych wysłanych do Warszawy! A za trumną podało tylko sześć osób!

Ta pośmiertna samotność i nieuchronne zapomnienie dziwią nas tym bardziej, że pan Zygmunt nigdy nie dążył do izolacji. Nawet w tak częstych podróżach mało obchodziły go zabytki, muzea, pejzaże, znacznie bardziej zaś – ludzie, naturalnie starannie dobrani. Trudno byłoby bowiem wyobrazić go sobie obserwującego całe bez wyjątku życie ulicy, na przykład studiującego życie szewca, szlifierza, przekupki. Jeśli istotnie by to robił, to chyba tylko dla zaszokowania otoczenia. Wszystkie jego działania podejmowane z taką energią i niezawodną precyzją przywodzą na myśl „kościół międzyludzki” Gombrowicza. Tu również odbywa się nieustannie teatr min, pozorów, gestów. Tu dokonywane są nieustanne przemieszczenia w hierarchii, jako że trudno wyobrazić społeczeństwo

²³ W tym miejscu warto może przywołać pojęcie „miejsc intymnych”, takich jak dom czy miasto rodzinne, należących do sfery naszych prywatnych uczuć. „Społeczna paplanina i sformalizowany sposób komunikowania się” nie sprzyjają pielęgnowaniu wrażeń, które trudno uczynić publicznymi. Zob. Yi-Fu Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, tłum. A. Morawińska, Warszawa 1987, s. 183–188.

inaczej niż uczynił to Zaratustra Nietzschego, dowodzący, że samo życie spiętrza się w „góry i doliny”. Podfilipskiego interesują wyłącznie góry i wyżyny, cała reszta populacji to jakiś mało ważny szczegół w konstrukcji całości. Wyjątkiem byłby może „strzelec” Hans – służący, ale i ostatecznie chyba przyjaciel?

Jacek Ligęza niejednokrotnie akcentuje nieprzeciętną zręczność, z jaką pan Zygmunt zachowuje się w różnych sytuacjach. Nastawiony bardzo przychylnie, a często wręcz bezkrytycznie do bohatera swojej opowieści, bierze dosyć prostodusznie zwykły cynizm za świadectwo towarzyskiego obycia²⁴. Może ma nadzieję, że tylko w stosunku do niego Podfilipski jest szczerzy, że tylko jemu pokazuje swą prawdziwą twarz, a innym – jedynie eleganckie maski? Nic na to nie wskazuje. Elastyczność, z jaką traktuje się ludzi w zależności od ich pozycji towarzyskiej, to w każdych okolicznościach dość brzydka cecha charakteru. W dodatku – bardzo rozpowszechniona, więc i w tym wypadku trudno posądzić Podfilipskiego o nadmiar oryginalności²⁵.

Myślę, że w stosunkach międzyludzkich preferuje on zawsze dystans, stanowi przeciwieństwo tych wszystkich, którzy przechodzą szybko i łatwo od znajomości do serdecznej przyjaźni. Może dlatego pan Zygmunt czuje się tak dobrze na ulicy, gdzie dystans zachować najprościej. Ze wszystkich jego kontaktów bije emocjonalny chłód i brak autentycznego zaangażowania.

Widać to najlepiej w scenie dyskusji literackiej, zakończonej gwałtownym sporem między Delickim i Kołczanowiczem²⁶. Dopóki polemika utrzymuje się w granicach rutynowej paplaniny salonowej, Podfilipski jest oczywiście górą. Wypowiada całkowicie niezobowiązujące poglądy, bo przecież tak naprawdę los literatury – zarówno polskiej, jak i francuskiej – mało go obchodzi! Chce jedynie błyszczeć, roztaczać blask światowca, sprawiać wrażenie człowieka najlepiej poinformowanego! Jednak w salonie pojawia się niesamowity „kościsty Litwin” Kołczanowicz – postać jakby spod pióra Witolda Gombrowicza! Nie tylko pojawia się, ale zaczyna przy-

²⁴ Jak się okazuje, u początków autorskiego zamysłu tkwi finezyjna gra. „Wsiadłem na noc do pociągu z Warszawy do Lublina, a po krótkiej drzemce, skoro dzień zaczęło, patrzyłem na mijające obrazy polskiego poranka, który wydał mi się wyjątkowo piękny. Zacząłem notować ołówkiem opis widoków i nastrojów – i pomyślałem, jak te gorące wyrazy wydałyby się śmiesznymi owym typom klubowym, które obserwowałem. W tej chwili usiadło naprzeciw mnie widmo Zygmunta Podfilipskiego, a ja się przedzierzgnąłem w tego z głupia franta Ligęzę” (J. Weyssenhoff, *Mój pamiętnik literacki*, s. 11).

²⁵ Jeszcze bardziej krytyczna w stosunku do „filozofii” Podfilipskiego jest M. Czermińska – zob. też, Józef Weyssenhoff, [w:] *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*. Seria V. *Literatura okresu Młodej Polski*, red. K. Wyka, A. Hutnikiewicz, M. Puchalska, t. 3. Kraków 1973, s. 485–486.

²⁶ O nazwiskach bohaterów powieści zob. I. Szypowska, *Weyssenhoff*, Warszawa 1976, s. 56.

słuchiwać się, a nawet uczestniczyć w dyskusji eleganckich panów. Gdybyż Kołczanowicz wystąpił z obroną powieści Orzeszkowej albo Rodziewiczówny – byłaby wtedy świetna zabawa... Ale Kołczanowicz zachowuje się po gombrowiczowsku. Ani myśli rozmawiać o literaturze! Pragnie „kuć w mordę” i to – uwzględniając potężną posturę Litwina – zabawne już nie jest. Podfilipski traci grunt pod nogami i nie odzyska go do końca sporu, o którym wspominać będzie zresztą bardzo niechętnie.

Przyznać trzeba otwarcie, że pan Zygmunt lubi sprawy, z których może łatwo się wycofać. Nie grozi mu zatem ani nieszczęśliwa miłość, ani nieudane małżeństwo²⁷, ani bankructwo, ani krach na giełdzie. Umie się w życiu urządzać, powiada o nim raz po raz Ligęza. Czy ma rację? I czy nie osądza swego przyjaciela zbyt pochopnie, czy zna go wystarczająco dobrze? Tę kwestię Weyssenhoff pozostawił całkowicie otwartą.

Na koniec wspomnijmy o jeszcze jednym miejscu, które nie mieści się w przedstawionym wcześniej wyliczeniu. Stawiając na szczycie odwiedzanym miast Paryż, a na samym dole – wzgardzony podlubelski dworek i niewiele wyżej Cisów, pan Podfilipski osiąga pełnię życia dopiero w Monte Carlo! Tutaj podoba mu się wszystko: i towarzystwo, i pejzaż, i emocje w kasynie gry. Czyni natychmiast stosowne porównania, z których wynika, że nie wypada po prostu malować nadwiślańskiego krajobrazu, skoro istnieją takie cuda jak Monaco:

Nie dziw, że w tych uprzywilejowanych krajach skupia się i rozrasta cywilizacja. Czego tu brak? – niczego zgoła. Życie najwytworniej urządzone, z całym bogactwem swych naturalnych wdzięków, buja tutaj jak ta roślinność, mieni się jak to morze, piętzy się jak te skały. U nas zaś – trudno tego wymagać wobec marnych warunków klimatycznych itd. Chociaż i my sami winni, bo mogłoby być lepiej. Dlatego to ja zawsze nawołuję²⁸.

I co po takiej tyradzie? Może usłyszymy za chwilę program naprawy Rzeczypospolitej godny Prusa albo przynajmniej Kaliszewskiego? Skądże znowu! Następuje zaproszenie na partyjkę do kasyna, gdzie tężni podobno „krew świata”.

Obserwując gorączkę hazardu, Podfilipski – chyba jednak szczerze – podziwia wspaniały „rozrost życia” i zwycięstwo cywilizacji²⁹. Może

²⁷ Stosunek Podfilipskiego do kobiet omawia E. Skorupa, *Filozofia o „Falbankach”, czyli kreacje kobiet i mężczyzn w powieści Weyssenhoffa* *Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego*, [w:] *Józef Weyssenhoff i Leon Wyczółkowski*, s. 144–146.

²⁸ J. Weyssenhoff, *Żywot i myśli...*, s. 229.

²⁹ Jakkolwiek trudno byłoby sugerować istnienie znaczących podobieństw między autorem i bohaterem powieści, trudno jednak oprzeć się pokusie przypomnienia, że obaj lubili hazard. „Pasja do hazardu karcianego wadała Weyssenhoffem wprost obsesyjnie, niejako poza działaniem jego woli i w waśni z jego wartością duchową” (A. Grzymała-Siedlecki, *Niepospolici ludzie...*, s. 112). Opinię tę potwierdza Z. Starowieyska-Morstinowa, *Ci, których*

żadna z wcześniejszych scen powieści nie demaskowała lepiej wewnętrznej pustki bohatera, który potrafi jedynie zdobyć się na pseudointelektualną pozę. Ale oczywiście pan Zygmunt jest dzieckiem swego czasu i produktem swego środowiska. To bywalec salonu, który traci już swoje siły żywotne, poszukując ratunku w stopniowym otwarciu na szeroki świat.

W literaturze XIX wieku nie brak powieści obrazujących kontrast między „ulicą” a „salonem”. „Ulica” jest przestrzenią otwartą, dostępną dla wszystkich (choć może w niejednakowym stopniu i pod pewnymi warunkami). Stosunki międzyludzkie są tu przejrzyste, pozycja społeczna czytelna, kategorie decydujące o hierarchii z góry określone. „Salon” to przestrzeń zamknięta, teren subtelnej gry ludzi i interesów. Czasami odnosimy wrażenie, że nie dokonują się tutaj żadne zmiany, bo o wartości bywalców „salonu” decydują urodzenie, tytuły, nazwisko, majątek. W rzeczywistości jednak – poczynając co najmniej od XVIII wieku – „salon” coraz częściej się otwiera. I jak się zdaje, takie właśnie dynamiczne, otwarte miejsca spotkań ludzi niekoniecznie najlepiej urodzonych zyskują najszerszą popularność i największy wpływ na opinię publiczną. W powieści Weyssenhoffa oglądamy głównie salony warszawskie, nieliczne, lecz za to wyraźnie zróżnicowane.

O samym bohaterze trudno byłoby powiedzieć, by odczuwał on kiedykolwiek dysonans między „ulicą” a „salonem”. W jednakowym stopniu pogardza bowiem brzydkimi, ciasnymi i brudnymi uliczkami³⁰ (zwłaszcza jednak polskimi), co drugorzędnymi salonami, gdzie gości raczy się tanim winem i niesmacznymi potrawami, a w dodatku trudno spotkać tam interesującego rozmówcę. Wolno więc chyba uznać, że nie tylko „salon” i nie tylko „ulica” (zwłaszcza jednak paryska) zasługują w oczach pana Zygmunta na miano miejsc magicznych, symboli cywilizacyjnego rozwoju i przestrzeni wprawiających w dobre samopoczucie. Minęły, zapewne bezpowrotnie, czasy tradycyjnej świetności, gdy „salon” był jednocześnie domem, siedzibą rodu, kolekcją dzieł sztuki i miejscem spotkań towarzyskich. Weyssenhoff przekonuje nas, że nadchodzi epoka, w której „salon” staje się pojęciem względnym. Funkcję „salonu” spełniać mogą obecnie zarówno tor hippiczny³¹, jak i kasyno, a nawet wynajęty lokal restauracyj-

spotykałam, Kraków 1963, s. 211. Zdecydowanie więcej pisano o fatalnej namiętności powieściopisarza niż o podobnych nałogach stworzonych przez niego postaci. Interesujące byłoby na pewno prześledzenie kariery Podfilipskiego przyjmujące za punkt wyjścia fakt, iż jest on w gruncie rzeczy urodzonym pokerzystą i swoje towarzyskie sukcesy zawdzięcza dobrej znajomości reguł owej karcianej gry.

³⁰ O rzeczywistości zatrwającym stanie higieny na warszawskich ulicach przełomu XIX i XX wieku zob. A. Słomczyński, *Warszawskie to i owo*, Warszawa 1997, s. 80–84.

³¹ W tym kontekście krytyczne opinie K.Z. Szymańskiej, (taż, *Józef Weyssenhoff...*, s. 356–358) wydają się chyba nadbyt prostoduszne.

ny czy przedział pociągu. „Salon” to przecież ludzie, rytuały, przesady, konwencje, a nie – określone miejsca.

Zamiast solidnych drzwi i wiernych lokajów wyrastają jednak najrozmaitsze bariery i granice, zapory i przeszkody, które umacniają swoją aktywnością również pan Zygmunt. Wszystko do czasu oczywiście, bo pod naporem wydarzeń „salon” w tradycyjnym znaczeniu stanie się z miejsca świetności jakże niepewnym azylem.

Tę historię opowie już najlepiej Marcel Proust.